

Polityka
Warszawa
21/27-09-16
T. / Nr 39

na scenie
Miłość
w cieniu katedry **3/6**

Notre Dame de Paris, reż. Gilles Maheu,
Teatr Muzyczny w Gdyni



© PIOTR MANASTERSKI

Prezentujący kosmiczny poziom tancerze ratują gdyński musical.

Oprawa do wystawienia tego słynnego musicalu starali się szefowie chyba wszystkich największych teatrów muzycznych w Polsce. Sukces osiągnęli dopiero w Gdyni, ale jest to zwycięstwo z gatunku pyrrusowych. Przede wszystkim dlatego, że nasza realizacja musiała być stuprocentową

kopią wersji francuskiej. Zatem wszystkie główne zadania artystyczne (reżyseria, scenografia, kostiumy, choreografia itd.) powierzono pilnującej szczegółowych wytycznych producenta (łącznie z kolorem skarpetek) ekipie z zagranicy. I tylko wykonawcy są rodzimi. Nasz narodowy wkład w dramatyczną opowieść o wielkich namiętnościach wypada uznać za połowicznie udany. Słabo radzą sobie, zarówno aktorsko, jak i wokalnie, niemal wszyscy soliści, na czele z odtwórcami dwóch głównych ról Esmeraldy i Quasimodo. Najwyraźniej nie odnaleźli się (jeszcze?) w sztywnym gorscie tzw. formatu. Na szczęście świetnie wypadają bohaterowie zbiorowi. Orkiestra brzmi jak berliński symfonicy, chóry – jak te anielskie. A tancerze (zaskakująco wiarygodni aktorsko) prezentują poziom wręcz kosmiczny, praktycznie niespotykany na polskich scenach. Oczywiście piękne songi i profesjonalizm oryginału sprawiają, że nie musimy niecierpliwie spoglądać na zegarek, choć o wzruszeniach, jakich dostarczał w oryginale choćby Garou, można zapomnieć. Nieoczekiwanie nabiera mocy drugoplanowy wątek starcia dwóch sił: emigrantów i stróżów lokalnego porządku. Skojarzenia z tym, co dzieje się teraz w Europie, nasuwają się nieuchronnie, a song „Les sans papiers” („Bez dokumentów”) z dramatycznym wołaniem o azyl brzmi mocniej niż papierowe i nie zawsze śpiewane czysto miłosne wyznania.

PIOTR SARZYŃSKI